



Jarosław Murawski „Resztki”, reż. Ewelina Marciniak, Teatr Wybrzeże, Gdańsk 2021. Fot. Natalia Kabanow

Ekosystem resztek

ANNA PAJĘCKA

PRZEDSTAWIENIA / 24 GRU, 2021

Przesłość dziczeje, zarasta zapomnieniami jak lasem
Maria Stiepanowa

W posłowi do *Wyjechali* Sebalda, Katarzyna Kończal pisze o „ekosystemie resztek”, sferze, w którą wchodzi postać – mężczyźni ocalali, u-chodzący, którym udało się ująć z nieistniejącego już świata. Świat przedwojenny – niby zamknięty, skoro z taką łatwością udaje nam się mówić o nim jako o niebyłym – nie jest wyłącznie historią. Rama się otwiera, wychodzą z niej, a właściwie wypływają szczelinami, języki, doświadczenia i przyzwyczajenia, które powracają i będą powracać. Doświadczamy tego dzisiaj bardzo mocno. I o tym właśnie, ekosystemie resztek, porzucanych tożsamościach i nowych na nie formach, jest spektakl *Resztki*, Eweliny Marciniak, która wraca do gdańskiego Teatru Wybrzeże.

Na scenie Malarnia rozgrywają się dwie narracje, które można pewnie rozbić na kilkadziesiąt opowieści. Kampowa estetyka spektaklu – błyszczące jaskrawe peruki, kolorowe stroje – uwodzi, a uwodzenie to figura niebezpieczna, lubiąca się w chaosie, nierealności, domagająca się sakralizacji codzienności, która niechybnie przeistacza się w spektakl. I w *Resztkach* to jest bardzo podkręcone. Mamy zatem spektakl w spektaklu, życie stające się teatrem na deskach teatru. W taki sposób udaje się wnieść do historii pustki, przemian i przemieszczania silny kontrapunkt – nie ma go w tekście, za to w obrazie dominuje.



Fot. Natalia Kabanow

Pustka, przemianie i przemieszczanie wychodzą od literatury, którą jest podstawą dramaturgii Jarosława Murawskiego: *Wyjechali*/Sebalda i powieści Mikołaja Łozińskiego *Stramer*. Z Łozińskiego jest postać Róża-narratorki, która od początku prowadzi przez spektakl. To córka Rudka Stramera (Piotr Biedroń), urodzona pod koniec fabuły książki, na kartach powieści już zawsze będzie miała kilka lat. Wyniesiona z tarnowskiego getta, utknęła w historii, nie wiadomo jakie są jej wojenne i powojenne losy. Ewelina Marciniak w roli siedmiolatki obsadza więc Dorotę Kolak, która spektakl rozpoczyna od poinformowania widowni, że dostała zadanie aktorskie: zagrać aktorkę, która gra siedmioletnią dziewczynkę. Przypomina się zdanie z monumentalnej *Pamięci pamięci* Marii Stiepanowej: „Aby martwi dziś przemówili, przychodzi oddać im miejsce we własnym ciecie i rozumie – nosić ich w sobie, jak dziecko”.

Narratorka jest jednocześnie jak z prozy Sebalda: nie zawsze obecna, czasem odsuwa się w cień sceny, żeby historia mogła rozdzielić się na kilka głosów. Róża jest demiurgiczna, stwarza postaci swojej opowieści w monologach i dialogach, a czasem dopuszcza je do głosu. Zapośredniczone opowiadanie to też cecha sebaldowska: obnaża się na scenie zarówno brak ciągłości tożsamości u postaci (aktorzy rzucają do siebie role, parafrazując: „możesz to zagrać?” „Żyda? eee, jednego już gram”) jak i próba uniwersalizowania opowieści.

Historia Stramerów, żydowskiej rodziny z Tarnowa, opowiedziana przez Łozińskiego ma strukturę rodzinnego albumu. Jesteśmy z nimi od momentu dorastania dzieci Rywki (w spektaklu gra ją Magdalena Gorzelańczyk) i Nathana (Piotr Chys) aż do wojny, kiedy ich dumne nazwisko przestaje istnieć – ci co przeżyją, przeżyją na polskich papierach, reszta doświadczy uniwersalnego losu tych, którzy w czasie wojny zostali w gettach. Na scenie dominantą jest to, co działo się zanim urwała się historia, z której później zostaną tytułowe resztki. Aktorzy dopytują czy umrą na końcu, zapewniając się wzajemnie, że nie mogą sobie zagwarantować, że nie.

Jeszcze jest taniec i muzyka (wariacje charlestona, slow-foxa, foxtrota?) – choreografia Dominiki Knapik nie jest dodatkiem do spektaklu, lecz jego osi. Zawieszane w beczasie postaci jak kukielki poruszają się mechanicznie, czasem dotykają ciała, jakby zastanawiały się: czy nadal istniejemy? Jazzowa muzyka Wacława Zimpla, podgrzewa tempo obecności aktorek i aktorów na scenie. Narratorka Róża mówi: dzień, w którym rozpoczęła się wojna, był najszcześliwszym dniem mojego życia. Narratorka Róża, którą próbują rozbić w opowieści twórcy, przebija się celebrowanie przeszłości, dlatego dynamika się zmienia: w tańcu są wspomnienia chwil sprzed wojny, w mechanicznych ruchach – niepewność. Róża, w czarno-białym kostiumie, nie ma pamięci sprzed wojny, dlatego wtapia się w tło, w oszczędną scenografię, która nakręcając światła w reżyserii Aleksandra Prowalińskiego.



Fot. Natalia Kabanow

Gdzieś pod sufitem chybotrze rzeźba-głowa („ciekawe, że dla innych człowiek to zawsze głowa” – mówi jeden ze stramerowskich braci w książce). Obecność głowy w scenografii, nawiązującą do wspomnianego fragmentu powieści, czytamy więc jako upominanie się, żeby nie dać zadusić w sobie człowieczeństwa, zwłaszcza w czasie kryzysu (jak bardzo boleśnie to współczesne, kiedy obserwujemy doniesienia medialne spod granicy) i znanej bohaterom *Stramera* rzeczywistości przed wojną. Wojną, w którą przecież nikt nie wierzył. „Jeśli się przedłuży, ale dlaczego miałoby się przedłużyć?” – zadają sobie pytanie aktorki i aktorzy. Życie teraz, wyzbycie się, a właściwie wyrzeczenie ostrożności to sposób na przeżycie, a nie tylko przetrwanie. Kiedy Rudek Stramer, z żoną Ruth i Różą uciekają z Krakowa, do tarnowskiego mieszkania na Goldhamera („umówiliśmy się, że jak się zacznie to wszyscy się tu spotkamy”), towarzyszy im prawdziwa groza wojny, zniszczone tory, konieczność znalezienia innego środka transportu, żeby dostać się na miejsce (w końcu pojawia się wóz: „za co?” „za swoją marynarkę” – wykrzykuje referujący tę historię Piotr Biedroń), ale kiedy znowu są razem, czas zatrzymuje się w tym miejscu, jakby na uniwersytetach nie wyrzucało się przez okno żydowskich studentów, którzy nie chcą podporządkować się nowej rzeczywistości. Kiedy Katarzyna Dalek, grająca Renę Stramer, śpiewa *Glory Box* Portishead, okazuje się, że ten utwór nie pasuje, stanowi wyrwę w historii znikania. A przecież istnieje jej historia: żyła, romansowała z znanym mężczyzną, a jako młoda dziewczyna przechadzała się w parku z koleżankami i grała w grę, która z nich złapie najwięcej męskich spojrzeń. Nikt nie chce być tylko ofiarą.

No i są jeszcze artefakty: fotografie i filmy, przewijające się wciąż i wciąż obrazy: na ekranie miłosna schadzka w lesie, chwile radości. Fotografia jest bezilozna, bo pewna, że za chwilę niczego nie będzie zachowywać wszystko tak jak potrafi, pisała Stiepanowa. Bohaterowie *Resztek* obracają w dłoniach fotografie jak dowody na istnienie, Co było dalej? Nie ma komu opowiedzieć” (to znów Stiepanowa).

Twórcy próbują zmieścić w tej historii, która ostatecznie nie jest przecież wyłącznie historią holokaustu, pojęcie zarastania pamięci, trafiając bardzo aktualnie w społeczno-polityczną sytuację współczesnego uchodzenia, która jest w dużej mierze o uciekaniu i porzuceniu, a więc skazywaniu się na resztki. Wacław Zimpel, czasem w roli sebaldowskiego nauczyciela Paula Bereytera z *Wyjechali*, a czasem we własnej opowiada o tym, że nienawidzi pakować się, przemieszczać, zostawiać rodzinę, żeby zagrać przez kilka godzin koncert w innym mieście. Istnieje się – bo trzeba – zarówno w czasie i przestrzeni, a to istnienie w przestrzeni czasem bywa bardziej bolesne. Albo, jak mówił Nabokow, istnienie jest szczelinami słabego światła, między idealnie czarnymi wiecznościami. W ascetycznej przestrzeni scenografii spektaklu *Resztki* walczy się o ukazanie tego światła. Bo przecież nie każda historia musi mieć swój finał, a nie każda podróż to ta, z której wraca się do tego, co zostawiało się przed nią. Zakończenie *Stramera* Łozińskiego zostawia czytelnika w rozpaczy, sebaldowskie losy pokazują przekłątną próżnię tytułowych resztek. Wdzięczna więc jestem twórcom spektaklu za nadzieję.



Fot. Natalia Kabanow

Postaci na scenie ustawiają się jak do fotografii, takiej samej, którą z dumą oglądała Rywka Stramer na początku epoki demokratyzowania się technicznej reprodukcji. W sztucznym dymie aktorki i aktorzy znikają na chwilę. Zamknięcie w fotografii zmusza ich do wiecznego ożywiania wciąż i wciąż. W ostatniej scenie spektakl zaczyna się tak jakby od nowa, wszyscy wracają na miejsce, z których rozpoczęli przedstawienie. Martwi nie mają czasu na odpoczynek, pamięć mieli i mieli. Czy da się zakończyć taki spektakl? Czy kiedykolwiek odpoczną?

Tagi: jarosław murawski resztki ewelina marciniak teatr wybrzeże

UDOSTĘPNIJ



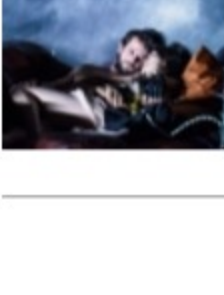
ANNA PAJĘCKA

Krytyczka sztuki, pracuje w redakcji „Dwutygodnika.com”.

Polecamy



Punkty widzenia
PRZEDSTAWIENIA / 27 MAR, 2023



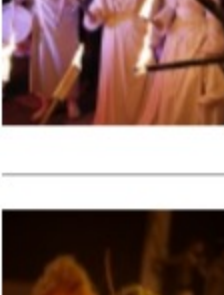
0 jeden krok za mało
PRZEDSTAWIENIA / 06 STY, 2023

Déjà vue

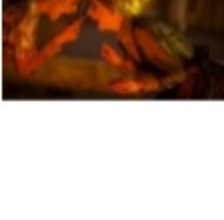
BLOG / 29 PAŹ, 2019

Dwa teatry

BLOG / 16 LIP, 2019



Niepodległość mniejszych wydarzeń
W NUMERACH /



Wybrzeże: portret
W NUMERACH /